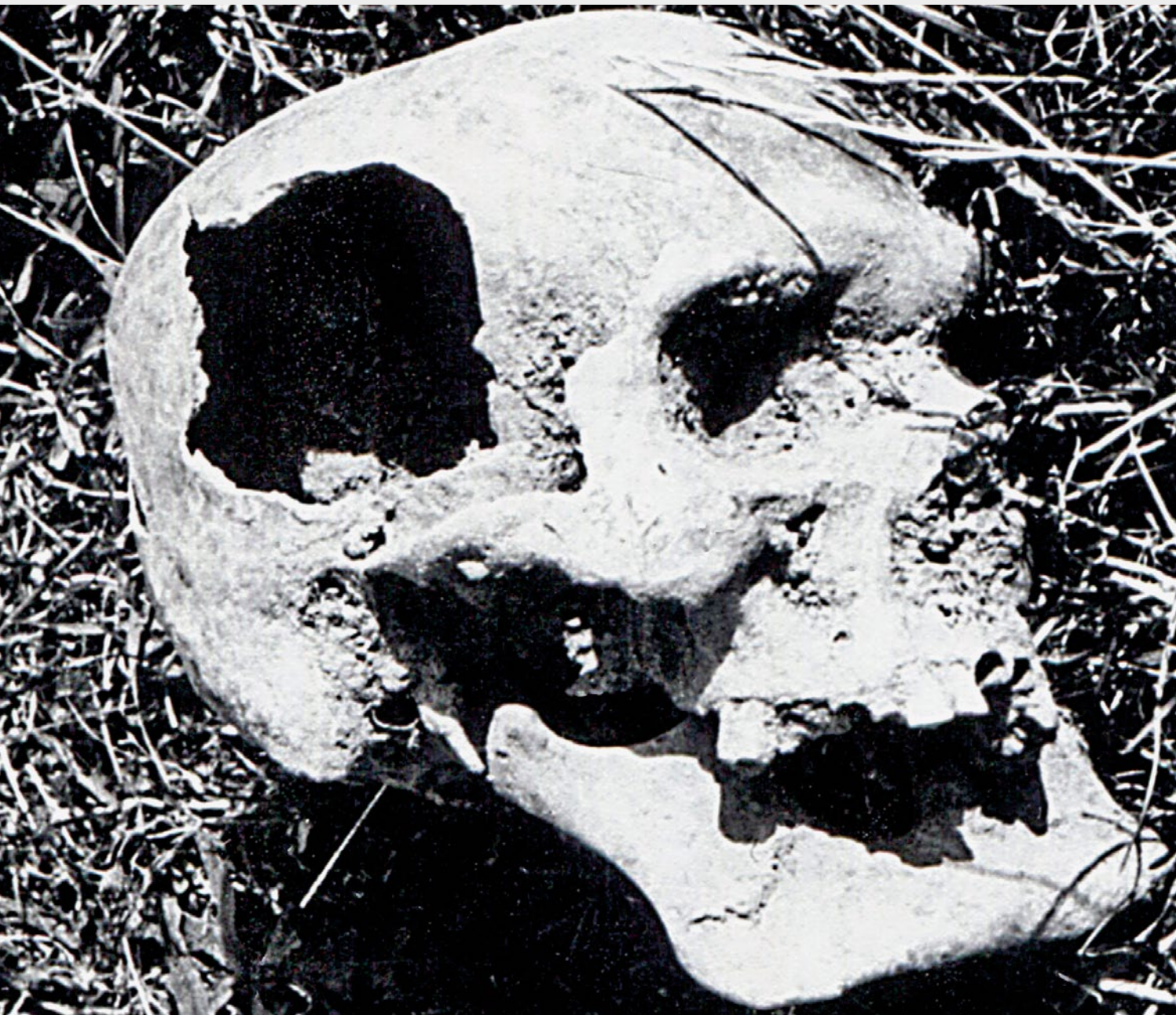


HEKATOMBA POLAKÓW **DODATEK SPECJALNY** część II

Wołyń '43

ukraińskie ludobójstwo Polaków

- Szokujące metody mordów
- Kat Polaków – Stepan Bandera
- Bohaterscy obrońcy Wołynia
- Ofiary wśród polskich dzieci





SPIS TREŚCI

IV-VII MACIEJ ROSALAK

WOŁYŃSKA MAKABRA

Nacjonaliści z UPA dokonali bestialskiego ludobójstwa Polaków. Celem było stworzenie jednolitej etnicznie Ukrainy.

VIII-XI LEON POPEK

PIEKŁO NA TRUPIM POLU

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej była jedną z największych zbrodni w czasie ludobójstwa na Wołyniu. W ciągu kilku godzin ukraińscy nacjonaliści wymordowali ponad tysiąc Polaków.

XII-XV OCALENI Z RZEZI MÓWIĄ

Relacje Polaków, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu, należą do najbardziej wstrząsających świadectw epoki.



Krzyż w miejscu mordu mieszkańców Ostrówek FOT. IPN

XVI–XVIII TOMASZ STAŃCZYK

POLSKA SAMOOBRONA

Część Polaków z Wołynia postanowiła się bronić. Chwycili za karabiny, noże, kosy i siekiery. Udało im się uratować tysiące rodaków.

REDAKCJA:

Redaktor prowadzący: **Piotr Zychowicz**
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**

Okładka: **Instytut Pamięi Narodowej**

To było ludobójstwo!

Ukraińscy nacjonaliści na terenie Wołynia i Galicji Wschodniej zgładzili ponad 100 tys. Polaków. W zdecydowanej większości miejscowych włościan. Olbrzymia część z nich została uśmiercona w niezwykle drastyczny sposób. Oprawcy w trakcie rzezi użyli narzędzi rolniczych: siekier, cepów, noży, wideł, pił, młotów, kos. Polacy na Wołyniu byli topieni w studniach, paleni żywcem, rozdierani koźmi. Tak zabijano mężczyzn, kobiety, dzieci...

Czytając relacje ocalałych z tych straszliwych dni, trudno uwierzyć, że wydarzenia te rozegrały się w XX w. Wydają się pochodzić z czasów kozackich buntów Chmielnickiego lub krwawych najazdów tatarskich, które w dawnych wiekach pustoszyły Rzeczpospolitą. Tymczasem wszystko to zdarzyło się zaledwie 73 lata temu. A sprawcami straszliwych mordów byli sąsiedzi.

Nie był to jednak żaden spontaniczny chłopski bunt przeciwko „polskim panom”, jak ukazuje to część współczesnych ukraińskich historyków. Była to zaplanowana i przeprowadzona z zimną krwią czystka etniczna. Jej celem było stworzenie jednarodowej, nacjonalistycznej Ukrainy. Zrealizowanie marzenia fanatyków z Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Ludzie zamordowani na Wołyniu zginęli tylko dlatego, że byli Polakami i katolikami. To było ich jedyne „przestępstwo”. Sprawia to, że rzeź z 1943 r. jest klasyczną zbrodnią ludobójstwa.

Mimo to przez wiele lat sprawę tej straszliwej zbrodni zamiatano pod dywan. Ba, nie wolno było nawet nazywać jej ludobójstwem. Wpływało to z obawy przed zaszkodzeniem relacjom na linii Warszawa–Kijów. Część naszych elit nie chciała drażnić Ukraińców przypomnianiem im o ciemnych kartach ich historii.

Sytuacja ta wywoływała uzasadnione rozgoryczenie i żal Wołyniaków oraz ich rodzin. Dopiero teraz – po latach – ludzie ci doczekali się sprawiedliwości. A wszystko dzięki Wojciechowi Smarowskiemu i jego filmowi „Wołyń”. Po tym, gdy setki tysięcy widzów zobaczy ten wielki, wstrząsający obraz, sprawa ludobójstwa Polaków zajmie należne jej, centralne miejsce w polskiej pamięci historycznej. Wreszcie!

Piotr Zychowicz





Maciej Rosalak

Już w 1942 r. zdarzały się mordy Polaków, ale regularna czystka etniczna – którym to „higienicznym” terminem określa się prawdziwe ludobójstwo dokonywane (tak jak w tym przypadku) ze względu na narodowość ofiar – rozpoczęła się w 1943 r.

Za jej początek uważa się rzeź Polaków w Parośli położonej w powiecie sarneńskim przez sotnię UPA pod dowództwem Hryhorija Perehijniaka „Dowbeszki-Korobki” urządzoną 9 lutego. Szczęśliwie przeżył ją 12-letni wtedy chłopiec, Witold Kołodyński, i opowiedział po latach, jak skończyła się wizyta nieproszonych gości, którzy najpierw zarabali sześciu jeńców kolaborantów niemieckich, potem pobili ojca, a następnie zasiedli do obiady, który kazali przygotować matce.

OCALONY SPOD SIEKIERY

„Po dłuższym czasie do sypialni wszedł dowódca z miną bardzo zadowoloną, za nim kilku bandytów rozebranych do koszul, roześmianych. Dowódca powiedział nam: »Musicie się położyć, my was powiążemy, żeby Niemcy was nie skrzywdzili za przetrzymywanie i karmienie partyzantów«. Rozkazał położyć się twarzą do podłogi i nastąpiło bestialskie mordowanie, rąbanie naszych głów siekierami. Oprawców było wielu, gdyż mordowano nas prawie jednocześnie. Mordercy przebywali w naszym domu w dalszym ciągu, uczując. W czasie mordowania słyszeliśmy krzyk mamy, która kątem oka musiała widzieć mordowanie dziadka, babci, ojca (swego męża), gdyż leżała obok niego. Po chwili ucichła. My – (ja) z siostrą – leżeliśmy nieco dalej obok kołyski, z nogami do głów rodziców. Po upływie jakiegoś czasu odzyskałem przytomność i usłyszałem głosy banderowców z kuchni, chodzących tam i z powrotem. W tym czasie słyszałem rżenie mamy. Do dziś nie wiem, dlaczego nie wstałem. Usłyszałem wnet kroki zbliżającego się do sypialni mordercy i natychmiast ułożyłem się w tej samej pozycji, chyba tylko z woli Boga. [...] Po przerażającej ciszy usłyszałem odgłos skrzypiących sań, oddalających się. Odczekałem jeszcze jakiś czas i dopiero wtedy zacząłem się poruszać.



Wołyńska makabra

Nacjonałści z UPA dokonali bestialskiego ludobójstwa Polaków. Celem było stworzenie jednolitej etnicznie Ukrainy



Płonąca polska wieś. Rekonstrukcja rzezi wołyńskiej w Radymnie. FOT. TADEUSZ KONIARZ/REPORTER

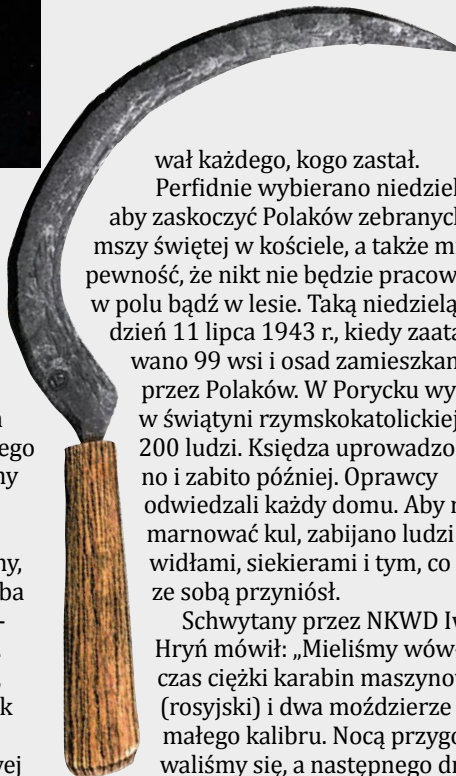
duży. Słychać za to straszne wycie psów. Nie dymiły nigdzie kominy”.

MORDUJ POLSKĄ SZLACHTĘ!

Takie mordy rozpoczęły się na wschodzie Wołynia, a następnie przemieszczały się na zachód, aż do Włodzimierza Wołyńskiego. Znakomita znawczyni tematu – Ewa Siemaszko – znalazła celne określenie dla tej taktyki: „wędrujące piekło”. Wyglądało ono na ogół tak: poprzedniego dnia i poprzedniej nocy w najgłębszej tajemnicy wokół polskiej wsi zbierały się po lasach oddziały UPA, uzbrojone po zęby, również w karabiny maszynowe, oraz zmobilizowane w pobliskich wsiach bandy chłopów. Zbrojni byli w widły, siekiery, noże, młoty. Znali oni dobrze teren oraz polskich sąsiadów, a więc najpierw pełnili funkcję przewodników, a następnie katów, którzy mieli się wykazać brakiem litości dla zabijanych, znanych niekiedy od dziecka ludzi. Nad ranem zgraje morderców, niektórzy byli na koniach, otaczały wieś tak, aby nikt się nie wymknął. Następnie oddział uderzeniowy wkraczał do wsi i dom po domu mordo-

cała banda, w tym i ja, napadliśmy na polski kościół, w którym trwało wówczas nabożeństwo, a uczestniczyło w nim do 200 osób, [w tym] starych i małoletnich dzieci. Kościół został okrążony i zaczęła się likwidacja ludzi, otworzyliśmy ogień z cekaemu w głąb głównego wejścia i okien, w wyniku czego zabito wielu obywateli i dzieci, a tych, którzy próbowali uciekać, doganiali i dobijali. Następnie zaczęliśmy pogrom poszczególnych rodzin, w którym i ja uczestniczyłem”.

We wsi Gurów na 480 Polaków ocalało tylko 70; w kolonii Orzeszyn na ogólną liczbę 340 mieszkańców zginęło 270 Polaków; we wsi Sądowa spośród 600 Polaków udało się ujsć z życiem 20, w kolonii Zagaje na 350 Polaków uratowało się kilkunastu. Stepan Redesz, dowódca czoty (plutonu), zeznał w śledztwie: „Otoczyliśmy pięć polskich wsi i w ciągu jednej nocy i następnego dnia spaliliśmy te wsie, a wszystkich ich mieszkańców w ogólnej liczbie ponad 2 tys. ludzi zarżnęliśmy. Mój pluton brał



Wstać jednakże nie mogłem. Cały byłem bardzo obolały, odrętwiały. Wtedy to młodsza moja siostra, Teresa, musiała odzyskać przytomność, gdyż poruszyła się, macając ręką podłogę. Spytałem: »Lila, ty żyjesz?«, na co siostra ze zdziwieniem odpowiedziała, raczej spytała: »Dlaczego miałabym nie żyć? Dlaczego my leżymy na podłodze?«. Wtedy ja powiedziałem, że tak nam oni kazali położyć się i wszystkich nas wybili. Ja jestem ranny, bardzo mnie wszystko boli. »To ja chyba też jestem ranna, bo mam takie pokłojone włosy i bardzo boli mnie głowa«. Byliśmy bardzo zziębnięci, zdrętwiali, zalani krwią. [...] U stryjka wszyscy tak samo pomordowani. Naprzeciw u sąsiadów ten sam widok. Nie widać żywej

wał każdego, kogo zastał.

Perfidnie wybierano niedziele, aby zaskoczyć Polaków zebranych na mszy świętej w kościele, a także mieć pewność, że nikt nie będzie pracował w polu bądź w lesie. Taką niedzielą był dzień 11 lipca 1943 r., kiedy zaatakowano 99 wsi i osad zamieszkałych przez Polaków. W Porycku wybito w świątyni rzymskokatolickiej 200 ludzi. Księżda uprowadzono i zabito później. Oprawcy odwiedzali każdy domu. Aby nie marnować kul, zabijano ludzi widłami, siekierami i tym, co kto ze sobą przyniósł.

Schwytany przez NKWD Iwan Hryń mówił: „Mieliśmy wówczas ciężki karabin maszynowy (rosyjski) i dwa moździerze małego kalibru. Nocą przygotowaliśmy się, a następnego dnia

udział w paleniu jednej większej wioski i przylegającego do niej chutoru. Zarżnęliśmy około tysiąca Polaków. Wielu z nich – mężczyzn, kobiety, starców i dzieci – rzucaliśmy żywych do studni, po czym dobijaliśmy ich strzałami z broni palnej. Pozostałych kłuliśmy bagnietami, zabijaliśmy toporami i rozstrzelaliśmy. Wszystko to czyniliśmy w myśl hasła: »Morduj polską szlachtę, która napływa na ukraińskie ziemie«”.

Ewa Siemaszko pisze („Historia Do Rzeczy”, nr 44, październik 2016 r.):

„To w 1943 r. powstało określenie dla mordów dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu »rzezie wołyńskie«, później pasujące do eksterminacji Polaków w Małopolsce Wschodniej. Najszerzej stosowane rąbanie siekierami na kawałki to tylko jeden z makabrycznych sposobów pozbawiania życia. Dla zobrazowania gehenny kre-

■ sowych Polaków trzeba dodać też inne, m.in.: rozpruwanie brzuchów (też kobiet ciężarnych), kłucie widłami i bagnietami aż do wykrwawienia, przerywanie piłą, odcinanie nosów, uszu, języka, wykuwanie oczu, zdzieranie paznokci, wyłamywanie rąk i nóg, odcinanie piersi, duszenie, wiązanie drutem i topienie związanych w rzecie lub stawie, przebijanie ciała kołkiem, wleczenie przywiązanego człowieka za koniem aż do zgonu, roztrzaskiwanie główek dzieci o ściany i słupy, rozrywanie dzieci za nóżki, nabijanie dzieci na płoty, zakopywanie żywcem. [...] Eksterminacji podlegały też polsko-ukraińskie rodziny – w całości lub ich polscy członkowie. Niekiedy żądano, by ukraiński członek rodziny zabił część polską. Podczas mordów i później rabowano dobytek, palono i niszczone domostwa, obiekty sakralne, budynki użyteczności publicznej, wycinano sady, niszczone (do dziś) cmentarze – wszystko, co mogło przypominać, że żyli tam Polacy”.

GENOCIDUM ATROX

Tak było na Wołyniu, potem w Małopolsce Wschodniej, a wreszcie na Podkarpaciu i wschodniej Lubelszczyźnie. Ilu Polaków zginęło – nikt nie jest w stanie podać dokładnej liczby. Ostrożne szacunki mówią o 100 tys. Są wiarygodni świadkowie i badacze, którzy sądzą, że było ich znacznie więcej – 130 tys.

W końcu ginęli też Ukraińcy, kiedy skonsolidowane nareszcie oddziały polskiej konspiracji niepodległościowej zaczęły – często w zemście za zamordowanie najbliższych – napadać na wsie ukraińskie. Skłania to niektórych historyków ukraińskich do wysuwania tezy o symetrii zbrodni ukraińskich i polskich. Śmierć niewinnych ludzi, zwłaszcza kobiet i dzieci ukraińskich, boli każdego uczciwego człowieka, ale o symetrii, o równej wadze tych mordów nie można mówić nie tylko dlatego, że ofiar ukraińskich było nieporównanie, bo 10 razy mniej. Różnica nie polega też na tym, że to UPA zaatakowała pierwsza i przez długi czas była właściwie bezkarna. Zasadniczo odróżnia te dwa zjawiska fakt wydania ludobójczego rozkazu przez Kłaczkiwskiego, zatwierdzenia go przez Suchewycza i przynajmniej przyjęcia do wiadomości przez władze OUN oraz zastosowania go – po Wołyniu – również w Małopolsce Wschodniej. Nie natrafiono na pisemny ślad takiej decyzji OUN, ale aż nadto świadczą o niej przerażające



Szczątki ofiar morderców z UPA FOT. IPN

powszechne zbrodnie dokonywane przez nacjonalistów ukraińskich. A Kłaczkiwski – wedle zeznań Jurija Stelmaszczuka „Turiwa” – wydał w czerwcu 1943 r. tajną dyrektywę: „Powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten dogodny moment do zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat... Tej walki nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły. Leśne wioski oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi”.

Jak powiedział, tak jego podkomendni zrobili. Nie ma już tych wiosek. A wraz z późniejszą depatriacją Polaków dokonaną przez Sowieców polskość zniknęła z tych ziem po sześciu wiekach obecności. Na koniec jeszcze raz zacytuję Ewę Siemaszko:

„Ta zaplanowana, zorganizowana przez OUN i przeprowadzona wraz z UPA oraz wspomagającymi ukraińskimi ugrupowaniami akcja fizycznej eksterminacji Polaków jako grupy narodowościowej, kwalifikowana jako ludobójstwo w świetle »Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa« z 1948 r., była wyjątkowa ze względu na skalę i sposoby okrutnego traktowania ofiar. Było to genocidium atrox, tj. ludobójstwo barbarzyńskie, dzikie, szczególnie bestialskie”.

OD RUSI DO UKRAINY

Ludobójstwo Polaków dokonane przez Ukraińców podczas II wojny światowej może zarazem przerażać i za-

skakiwać. Skala bestialstwa i liczba ofiar łączą się tu nie tylko ze zbrodniczym motywem, jaki powstał w chorej głowie inicjatorów mordu, lecz także z gorliwym współuczestnictwem w zbrodni znacznej części ukraińskich mieszkańców Wołynia oraz Małopolski Wschodniej.

A przecież Ukraińcy i Polacy żyli tu obok siebie od wieków. Wołyń został przyłączony wraz z całą Ukrainą do Królestwa Polskiego w XVI w. za Zygmunta Augusta, kiedy szlachta ruska zgodnie opowiedziała się za tym w okresie uchwalania unii lubelskiej (1569 r.). Natomiast na Rusi Czerwonej – zwanej później Małopolską Wschodnią – w wyniku układów dynastycznych panował Kazimierz Wielki już dwa stulecia wcześniej. Rozbiory Rzeczypospolitej spowodowały w końcu XVIII w., że Wołyń trafił pod władzę Rosji, natomiast Małopolska Wschodnia (nazwana Galicją Wschodnią) – pod władzę Austrii.

Dzieje tutejszych mieszkańców bywały tragiczne, choćby podczas buntu Kozaków w XVII i hajdamaków w XVIII w., a także walk ukraińsko-polskich w latach 1918–1919. W 1920 r. Ukraińcy i Polacy dzielnie walczyli jednak ramię w ramię z najazdem bolszewickim. Porozumienie naczelnika Józefa Piłsudskiego z ukraińskim przywódcą Symonem Petlurą zakładało wtedy, że zarówno Małopolska Wschodnia, jak i Wołyń wejdą w skład Rzeczypospolitej Polskiej. I tak się stało, natomiast niepodległej Ukrainy – mimo przejściowego zajęcia Kijowa – nie udało się wywalczyć.

Zrozumiałe rozgoryczenie Ukraińców znajdowało na ziemiach włączonych do Polski bardzo różny wyraz. Spora część ich elit szukała drogi rozwoju swego narodu we współpracy z polskim państwem, znajdując zrozumienie u takich polityków polskich jak poseł Tadeusz Hołowko, minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki i wojewoda wołyński Henryk Józewski. Program porozumienia polsko-ukraińskiego, wdrażany przez tego ostatniego, nie znalazł jednak poparcia rządu, organizującego (zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego) akcje represyjne wobec terrorystów ukraińskich, które niestety godziły także w spokojną część ludności ukraińskiej.

Jednakże wspomniani terroryści, wykonując polecenia utworzonej w 1929 r. Organizacji Nacjonalistów Ukraińskich, podpalali domostwa i zbiory chłopów polskich, napadali na urzędy państwowe i mordowali tych, którzy – ich zdaniem – stali na drodze do utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego. To znaczy zwolenników dialogu i współpracy po obu stronach. Zamordowali więc Hołowkę (1931) i Pierackiego (1934), szykowali zamach na Józewskiego, ale ich ofiarą padł też Iwan Babij – dyrektor gimnazjum ukraińskiego we Lwowie. W okresie 1921–1939 ukraińskie podziemie nacjonalistyczne przeprowadziło 63 zamachy, w których zginęło łącznie: 36 Ukraińców (w tym tylko jeden komunista), 25 Polaków, jeden Rosjanin i jeden Żyd. Oprócz 63 zamachów na ludzkie życie (w tym 11 na znane polskie i ukraińskie osobistości polityczne, z czego osiem udanych) dokonano także w okresie międzywojennym pięciu zamachów bombowych i 18 akcji ekspropriacyjnych.

Warto zauważyć, że końcowe przykazania sformułowanego w 1929 r. „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty” brzmiały: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy; Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu; Będziesz dążył do rozszerzenia siły, sławy, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego nawet drogą ujarzemia cudzoziemców”. Ze szczególnie skuteczną konsekwencją realizował owe przykazania Stepan Bandera, który w pierwszej połowie lat 30. pełnił funkcję prowidnyka (przywódcy) krajowej OUN. Wtedy to właśnie najwięcej za-

nych ludzi straciło życie z rąk bojówek nacjonalistycznych.

POCZULI KREW...

Nacjoniści poczuli krew wraz z początkiem wojny w 1939 r. Współ z bojówkami komunistycznymi atakowali walczące z Niemcami, a od 17 września opierające się także Sowieciom oddziały Wojska Polskiego. Kiedy okazało się, że ziemie ruskie przechodzą pod okupację sowiecką, doszło do rozłamu w OUN. Na początku kwietnia 1940 r. zwolennicy utrzymania ścisłej współpracy z Niemcami zgrupowali się wokół Andrija Melnyka (zresztą agenta Abwehry) i utworzyli tzw. OUN-M. Natomiast pod przewodnictwem Stepana Bandery powstała OUN-B, która większą wagę przywiązywała do tworze-

tylko nieco zmieniło formę na: „Bij Lacha, Żyda i komunistę”. Określenie „Lach” obejmowało więc wszystkich Polaków, nie tylko „panów i księży”, ale przede wszystkim, jeśli już nie wyłącznie, chłopów. Sąsiadów takich samych chłopów ukraińskich, z którymi – jak wynika z dziesiątków przekazów – zgodnie wcześniej żyli, nierzadko się żenili i pomagali sobie nawzajem. Tak było, zanim faszystowskie urojenia nacjonalistów nie zatrąty krwi pobratymczej...

Kiedy Niemcy zlekceważyli dążenie ku „samostijnej Ukrainie”, Bandera przeszedł do opozycji wobec nich i do tworzenia własnych oddziałów partyzanckich. We wrześniu 1941 r. został aresztowany i osadzony w Sachsenhausen (włos z głowy mu zresztą nie spadł). 14 października 1942 r. referenci wojskowi obwodowych prowidów OUN-B powołali siłę zbrojną, która po różnych reorganizacjach przyjęła w końcu 1943 r. jedną nazwę na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej – Ukraińska Powstańcza Armia. Jej oddziały liczyły wtedy 15 tys. żołnierzy, a rok później – podczas pełnej mobilizacji i jednoczesnej walki z Sowieciami i Armią Krajową – nawet 35 tys. Ponieważ na przełomie lat 1942 i 1943 na rozkaz OUN Ukraińcy zdezerterowali z kolaboranckiej policji, UPA miała sporo wyszkolonych ludzi i dobrej broni. Wspierała ich „czerni”, czyli miejscowi chłopci ukraińscy.

Pierwszym dowódcą na Wołyniu został Dmytro Klaczkowski „Kłym Sawur”, rychło naczelnym katem ludności polskiej na Wołyniu. Zwierzchnikiem politycznym i wojskowym uczyniono zaś Romana Szuchewycza, prowidnyka OUN-B, mianowanego „generałem”, niedawno jeszcze żołdaka batalionu „Nachtigall” i niemieckiego schutzmanna. Na terenach Rzeczypospolitej i obszarach przyległych utworzono 12 okręgów wojskowych. Formowano w nich pułki (partyzanckie zahiny), złożone z kureni (batalionów), sotni (kompanii), czotów (plutonów), rojów (drużyn) oraz łanek (sekcji).

UPA niekiedy nawet organizowała akcje przeciw Niemcom, ale – zgodnie z planem – zwróciła się głównie przeciw Polakom. Mieli się oni natychmiast wynosić z ojczyzny od pokoleń ziemi, a jeśli nie usłuchaliby tego nakazu, to czekała ich śmierć. I to nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety i dzieci. A mieli być zabijani tak, „zeby poczuli, iż umierają...”



Ukraiński znaczek pocztowy z Romanem Szuchewyczem, człowiekiem odpowiedzialnym za mordy na Polakach. FOT. ARCHIWUM

nia siły zbrojnej i do działań ekstremistycznych. Tak powstały Krajowy Sztab Wojskowy i Wojskowy Ośrodek OUN.

Po ataku III Rzeszy na ZSRS w 1941 r., kiedy nacjoniści liczyli na stworzenie im państwa przez hitlerowców, gorliwie z nimi współpracowali. Uczestniczyli w tworzeniu u boku SS zbrodniczych batalionów „Nachtigall” i „Roland” oraz policji, w zamordowaniu polskiej elity intelektualnej Lwowa oraz w zagładzie ludności żydowskiej – zagładzie, która właśnie wtedy przybrała formę masowych mordów. Polscy badacze zwracają uwagę na to, że to holokaust na Ukrainie sprzyjał ostatecznemu porzuceniu przez OUN zasadniczych norm moralnych, wywłaszczeniu się w metodach zbiorowych egzekucji i przyzwoleniu znacznej części mieszkańców na stosowanie takich metod.

Dawne hasło hajdamaków: „Bij polskiego pana, łańckiego księdza i Żyda”



Z dr. Leonem Popkiem, historykiem z IPN, krewnym zamordowanych w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej rozmawia Piotr Włoczyk

Piekło na trupim polu

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej była jedną z największych zbrodni w czasie ludobójstwa na Wołyniu. W ciągu kilku godzin ukraińscy nacjonałści wymordowali ponad tysiąc Polaków

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej zasługuje na szczególne miejsce w pamięci Polaków?

LEON POPEK: Ponieważ była to jedna z największych zbrodni w czasie ludobójstwa Polaków na Wołyniu. W dniach 29–30 sierpnia 1943 r. UPA zaatakowała wszystkie wsie w powiecie lubomelskim, w których żyli Polacy. Banderowcy zabili wówczas w ponad 30 wsiach ok. 2,5 tys. ludzi. Tylko w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, dwóch sąsiednich, bardzo blisko ze sobą związanych wsiach, wymordowanych zostało w ciągu kilku zaledwie godzin ok. 1050 Polaków. W Ostrówkach zginęły minimum 474 osoby, a w Woli Ostrowieckiej wymordowanych zostało co najmniej 570 osób. Ukraińcy zgładzili więc ok. 70 proc. mieszkańców tych wsi. Ponad 100 rodzin zostało wymordowanych w całości...

Dokładne opisanie zagłady Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, a także znalezienie i pochowanie ofiar tej zbrodni to dla pana cel nie tylko zawodowy...

Tak, wykonuję tę pracę w poczuciu obowiązku wobec członków mojej rodziny, którzy zostali zamordowani przez banderowców. 30 sierpnia 1943 r. podczas ataku na Ostrówki i Wolę Ostrowiecką zamordowanych zostało ponad 20 osób z mojej rodziny, w tym mój dziadek ze strony mamy, Jan Szwed.

Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tego samego dnia, gdy masakrę Woli Ostrowieckiej cudem przeżyła moja 22-letnia mama, mój tata ocalał z zagłady jego rodzinnej wsi Gaj w powiecie kowelskim. Obie wsie dzieliło od siebie około 100 km, dziś nie ma już po nich właściwie śladu. W Gaju zabici zostali mój dziadek ze strony ojca, Mikołaj Popek, a także jego cztery córki, czyli moje ciotki.

Od najmłodszych lat słuchałem opowieści o zagładzie Wołynia. Moi krewni, którzy przeżyli rzeź, często zadawali to samo pytanie: „Dlaczego nas zabijali? Przecież my nic złego im nie zrobiliśmy”. Wybór studiów historycznych na KUL był więc dla mnie rzeczą zupełnie naturalną. Jeszcze na uniwersytecie, w 1978 r., za namową prof. Jerzego Kłoczowskiego zacząłem zbierać relacje ludzi, którzy przeżyli rzeź wołyńską. To nie były łatwe historie, często tym rozmowom towarzyszyły płacz i ból. Tłumaczyłem jednak moim rozmówcom, że te świadectwa to bardzo ważna rzecz dla historii i potomnych. Przez ponad 30 lat zebrałem w sumie ponad 2,5 tys. relacji.

Jak złe były w takim razie stosunki polsko-ukraińskie na tamtym terenie przed wojną?

One wcale nie były złe! Powiedziałbym nawet, że były bardzo dobre! Nie było żadnych konfliktów na tle ekonomicznym, ponieważ Polacy w obu tych

wsiach byli właściwie równie ubodzy co ich ukraińscy sąsiedzi z okolicznych wsi. Nie było zazdrości, bo nie było czego zazdrościć. Dzieci polskie chodziły do szkoły z dziećmi ukraińskimi, razem się bawiły, pasły krowy. Ukraińcy budowali domy Polakom, a Polacy Ukraińcom. Stosunki między obiema nacjami układały się zupełnie normalnie.

Warto też zaznaczyć, że mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej mieszkali tam od co najmniej czterech wieków. To nie byli koloniści, którzy pojawili się na Wołyniu po 1920 r. i pozabawili swoich ukraińskich sąsiadów ziemi. Mieszkańcy obu wsi mówili gwarą mazurską, ponieważ stamtąd właśnie pochodzili w znacznej części ich przodkowie. Ostrówki i Wola Ostrowiecka były ze sobą bardzo powiązane rodzinnie, ponieważ małżeństwa zawierano praktycznie wyłącznie w obrębie tych dwóch wsi. Panieńskie nazwisko mojej mamy to Szwed. W obu miejscowościach było kilkadziesiąt rodzin Szwedów. Wielu było też Jesionków, Kuwałków, Trusiuków, Ulewiczów. I dlatego, żeby łatwiej rozróżnić ludzi, każdy miał tam swój przydomek.

Czy próbowali się jakoś zabezpieczyć przed zagładą? Przecież musieli zdawać sobie sprawę z tego, że przedzej czy później ich wsie zostaną zaatakowane. Pod koniec sierpnia 1943 r. prawie cały Wołyń spłynął już krwią Polaków...



Kości ofiar zbrodni w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej FOT. IPN

Ludzie mimo dramatycznie brzmiących doniesień nie wierzyli, że może dojść do ataku na ich wsi. Niestety, mieszkańcy nie byli dobrze zorganizowani. W obu wsiach było tylko kilkunastu młodych mężczyzn należących do AK, którzy mieli zaledwie kilka sztuk broni palnej.

Ukraińcy już kilka miesięcy wcześniej chcieli zgładzić Ostrówki rękoma Niemców. Podłożyli minę na moście w tej wsi tuż przed przejazdem niemieckiej kolumny. W wybuchu śmierć poniosło kilku Niemców. Ostrówki miały zostać w odwecie spalone. Niemcy zaczęli już nawet podkładać ogień pod domy i zabili kilku mieszkańców, ale szczęśliwym trafem jeden z mieszkańców, który znał język niemiecki, miał dar przekonywania i wytłumaczył jakoś Niemcom, że to Ukraińcy podłożyli tę minę. W ten sposób Ostrówki zostały uratowane.

Jak wyglądały ostatnie godziny przed atakiem UPA?

29 sierpnia, w niedzielę po południu, w czasie nabożeństwa w kościele w Ostrówkach ks. Stanisław Dobrzański dowiedział się od ludzi z AK z Lubomla i Jagodzina, że Ukraińcy szykują się do ataku. AK-owcy chcieli wywieźć księdza w bezpieczne miejsce. Duchowny powiedział jednak, że nie zostawi swoich owieczek samych wobec gromadzących się wilków. Ksiądz postanowił zorganizować

samoobronę. Kobiety i dzieci miały zostać wywiezione furmankami do Jagodzina, gdzie stacjonowali Niemcy i Węgrzy, a mężczyźni mieli bronić swoich wsi.

Dlaczego z tej ewakuacji nic nie wyszło?

Zabrakło kilku godzin. Pod koniec sierpnia dzień był już krótki, nie zdążono przygotować ewakuacji przed zmierzchem. Kilkadziesiąt osób z Woli Ostrowieckiej mimo zmroku postanowiło jednak pojechać do Jagodzina. Musiały one przejechać przez Ostrówki, ponieważ wiodła tamtędy jedyna droga w kierunku Jagodzina. Niestety, mieszkańcom Ostrówek udało się namówić swoich sąsiadów, by ci nie jechali nocą... Wśród tych, którzy chcieli dostać się do Jagodzina, byli moja ciocia i wujek z trojgiem małych dzieci. Cudem przeżyli zagładę. Opowiadali mi potem o tych dramatycznych godzinach.

Mieszkańcy wystawili warty na noc?

Tak, uzbrojeni w narzędzia gospodarze mężczyźni czuwali na obrzeżach wsi. Noc przebiegła jednak spokojnie. O świcie mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek. Ich oczom ukazały się słupy dymu z sąsiednich wsi zamieszkałych przez Polaków...

Rano Ostrówki i Wola Ostrowiecka zostały otoczone szczelnym kordo-

nem – w mordzie brało udział około 2,5 tys. Ukraińców – w większości byli to członkowie UPA, ale część stanowili Ukraińcy z okolicznych wsi. Po wszystkim brali oni udział w rabowaniu mienia pomordowanych. Siłami UPA dowodził Iwan Kłymczak „Łysy”. To on był autorem raportu dokumentującego tę zbrodnię. Kłymczak napisał w nim: „Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, mienie i chudobę zabrałem dla potrzeb kurenia”.

Od czego zaczął się mord?

Ukraińcy chodzili od domu do domu i wzywali gospodarzy na „zebranie”. Jednym tłumaczyli, że chodzi o tworzenie oddziału partyzanckiego, innym mówili, że zostanie powołane wspólne polsko-ukraińskie wojsko. Po zwabieniu głów rodzin napastnicy wchodzili do domów i wyciągali na zewnątrz – też pod pretekstem spotkania – resztę domowników. Ci, którzy nie mogli wyjść, np. ludzie przykuci do łóżek, byli na miejscu zabijani. Tylko nielicznym mieszkańcom udało się ukryć gdzieś w domu albo w gospodarstwie i przeżyć tę rzeź.

Najpierw wymordowano mężczyzn. W obu wsiach scenariusz był identyczny. Zaczęto od młodych i silnych. Mężczyźni z Woli Ostrowieckiej byli prowadzeni w grupach 10-osobowych z placu



Doktor Leon Popka przy szczątkach zamordowanych mieszkańców Woli Ostrowieckiej, 1992 r.

FOT. ARCHIWUM LEONA POPKA

■ szkolnego, gdzie ich zgromadzono, do stodoły w gospodarstwie Antoniego Strażycy na drugim końcu wsi. Tłumaczono im, że idą na komisję lekarską. Oprawcy kazali im się tam rozebrać do bielizny i oddać złoto, zegarki oraz broń. Następnie mordowani byli siekierami, maczugami, młotami do zabijania zwierząt, a ich ciała wrzucano do dołu.

W 1978 r. rozmawiałem z Władysławem Soroką, który zaprowadzony został wraz z innymi mężczyznami z Woli Ostrowieckiej do tej stodoły. Na jego oczach Ukraińcy zabili ciosem siekiery jego syna, który prowadzony był przed nim. Władysław Soroka był krępy, służył wcześniej w Wojsku Polskim jako kowal. Ludzie śmiali się, że koń nie miał prawa wyswobodzić się z jego żelaznego uścisku. Soroka jakimś cudem wyrwał się Ukraińcom i uciekł. Nie został doprowadzony na samo miejsce kaźni, nie był więc w stanie powiedzieć, jak dokładnie zginęli ludzie, których odnaleźliśmy w dole śmierci w gospodarstwie Strażycy.

Profesor Roman Mądro z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie uważa, że ofiary zgłodzone w tamtym miejscu były doprowadzane do dołu, zmuszano je do położenia się twarzami do ziemi i dopiero wtedy były zabijane za pomocą narzędzi gospodarczych, bez oddania ani jednego strzału. Znalezione przez nas dół miał 12 m długości, 2,5 m szerokości i 70 cm głębokości. Natrafiliśmy tam na 243 szkielety, ale nie wszystkie należały do mężczyzn. Na górze znaleźliśmy bowiem dzieci i kobiety – po wymordowaniu mężczyzn zaczęto tam zabijać kobiety

i dzieci zamknięte w szkole. W tym dole leżał też mój dziadek Jan.

Co się wtedy działo z pańską matką?

Moja mama Helena mieszkała ze swoją rodziną na samym końcu Woli Ostrowieckiej w tzw. kolonii. Ukraińcy nie zdążyli ich na czas wyprowadzić z domu. Początkowo na to „zebranie” miał iść brat mojej mamy, Julian, ale ostatecznie poszedł na nie jego ojciec, czyli mój dziadek. Wujek widział ze strychu domu, jak Ukraińcy kopali dół śmierci w gospodarstwie Strażycy, choć wtedy nie był w stanie wyobrazić sobie, do czego ono posłuży.

Mama, wraz z resztą domowników, postanowiła w końcu uciekać z domu. Babcia wzięła tylko krzyżyk ze ściany, gdyby ktoś umierał. Tak się złożyło, że w momencie, gdy moja rodzina rzuciła się do ucieczki, pod wieś podjechało 50–60 Niemców i doszło do wymiany ognia z Ukraińcami. W wyniku walki rozluźnieniu uległ pierścień wokół wsi i mojej rodzinie udało się wydostać z tego piekła.

W tym czasie mężczyźni w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej byli już wymordowani. Kobiety i dzieci z Woli Ostrowieckiej były zamknięte w szkole, która następnie została obłożona snopkami i podpalona. Do środka wrzucono granaty, a do tych, którym udało się wyskoczyć na zewnątrz, strzelano. Na terenie szkoły zginęło około 250 osób. W 2011 r. odnaleźliśmy tam szczątki 79 osób. Nigdy ich nie pochowano, część uległa całkowitemu spaleni, a potem przez lata było tam pole kołchozowe. Pługi wyciągały kości na wierzch i rozwlekały je po okolicy, dlatego na

ludzkie szczątki natrafiliśmy dopiero 40 cm pod powierzchnią ziemi i stąd tak mała liczba odnalezionych kości.

Najpotworniejszy los czekał jednak kobiety i dzieci zamknięte przez Ukraińców w kościele w Ostrówkach.

Mówimy w tym momencie o około 300 osobach. Ukraińcy wyciągnęli tych ludzi z kościoła i chowali się za nimi, traktując ich jak żywe tarcze w walce z Niemcami. Popędzili następnie kobiety i dzieci za wieś. Ludzie, którzy przeżyli te dantejskie sceny, opowiadali potem, że w obliczu śmierci kobiety śpiewały pieśni religijne, wszyscy przepraszały się za przewiny. Matki mówiły dzieciom, że za moment zobaczą Boga, żeby nie bały się śmierci. Wiadomo też, że wcześniej mężczyźni w obliczu śmierci zachowywali się podobnie – padali na kolana, śpiewali pieśń „Serdeczna matko”... Nie mówię tego, żeby upiększyć śmierć mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Tak bowiem w rzeczywistości wyglądały ostatnie chwile tych ludzi według świadectw osób, które przeżyły zagładę obu wsi.

Od tej pędzonej przez banderowców 300-osobowej grupy kobiet i dzieci z kościoła w Ostrówkach przy cmentarzu oderwała się grupa około 20 starszych kobiet. Chciały one po prostu umrzeć na poświęconej ziemi... Reszta ofiar została zapędzona 4 km za Wolę Ostrowiecką, na pole pod ukraińską wieś Sokół. Jedna z kobiet prosiła o darowanie życia dzieciom. Dowódca zabójców z UPA powiedział jednak, że wszyscy Polacy muszą zginąć za to, iż tyle lat żyli na ukraińskiej ziemi.

Rozpoczęło się piekło – klucie bagnietami, rozstrzeliwanie z przyłożenia pistoletu do głowy. Zwłoki leżały 10 dni na polu. Dzikie zwierzęta rozwlekały ludzkie szczątki. W końcu w obawie przed epidemią UPA zapędziła mieszkańców Sokoła do zakopywania zwłok. Rozmawiałem z człowiekiem, którego matka zakopywała ofiary zbrodni, ten człowiek zresztą żyje do dziś. Powiedział mi, że przy wrzucaniu do dołu warkocze pomordowanych odrywały się razem ze skórą od czaszek. Mówił, że takiej ilości ptactwa jak wtedy nigdy nie widział. Potem bał się tam chodzić. Ukraińcy nazwali to miejsce trupim polem.

Ile osób przeżyło tę masakrę?

Kilkanaście. Byli to ludzie, których w pośpiechu nie udało się Ukraińcom zabić, a potem dobić. Jednym z ocala-

tych był Aleksander Pradun, który miał wówczas 14 lat. Ten człowiek zmarł w zeszłym roku. Według jego relacji banderowcy po kolei zabijali jego ciotkę, jej dzieci i wreszcie jego matkę. Gdy przyszła kolej na niego, kula trafiła obok jego głowy. Aleksander Pradun nie został nawet draśnięty, ale udawał, że nie żyje.

W jaki sposób udało się pańskiemu zespołowi odnaleźć miejsce pochówku tych ofiar?

Tego miejsca szukaliśmy bardzo długo. Wreszcie za pomocą wykrywacza metalu natrafiliśmy na kilkadziesiąt łusek. W ten sposób namierzaliśmy dół śmierci. W 2011 r. na trupim polu ekshumowaliśmy co najmniej 231 osób. Niestety, praktycznie w ogóle nie zachowały się kości małych dzieci. Po niektórych ofiarach zostało tylko coś na kształt „negatywu” na piasku... Cały czas szukamy ofiar tamtej zbrodni. W zeszłym roku na terenie Ostrówek znaleźliśmy dół śmierci, w którym spoczywały 33 ciała – 22 mężczyzn, sześciorga dzieci i pięciu kobiet. Wciąż szukamy reszty ciał. Mamy jeszcze do odnalezienia szczątki ok. 380 osób.

Co dziś zostało po tych wsiach?

Właściwie jedynym śladem jest cmentarz w Ostrówkach, który służył obu wsiom. Był on bardzo zdewastowany, ale przez ostatnie lata doprowadziliśmy go do porządku. Na cmentarzu został postawiony pomnik, na którym widnieje napis: „Pamięci mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, którzy zginęli 30 sierpnia 1943 r. Niech spoczywają w pokoju. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Rodacy”. Niestety, tylko tyle udało nam się wywalczyć. Był jeszcze orzeł w koronie, ale ktoś go usunął. W oryginalnym projekcie były jeszcze tablice: po lewej stronie miało być wymienionych z imienia i nazwiska 570 zamordowanych z Woli Ostrowieckiej, a po prawej 474 ofiary z Ostrówek. To jednak zostało zablokowane przez stronę ukraińską.

Jako pamiątka po tamtych ludziach został jeszcze naturalnej wielkości posąg Matki Boskiej, który stał przed kościołem w Ostrówkach. Przez kilkadziesiąt lat leżał rozbity w rowie. Na początku lat 90. Ukraińcy złożyli go w całość. Matka Boska stoi tam dziś bez dłoni, bez głowy, jest cała poobijana. To bardzo symboliczny widok.

Jak pan wspomina reakcje Ukraińców, gdy zaczęliście tam jeździć i szukać ofiar tamtej zbrodni?



Przedmioty należące do pomordowanych w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. FOT. IPN

Pierwszy raz pojechałem tam w 1990 r. Generalnie bardzo dobrze wspominam kontakt z Ukraińcami. Nie byłoby trzech ekshumacji, ratowania cmentarza, corocznych pielgrzymek, gdyby nie życzliwość miejscowych ludzi. Ci ludzie przychodzili pożegnać swoich sąsiadów, to był bardzo wzruszający widok. Tak musiało tam być przed wojną. Nikt ich nie spędzał na siłę, z własnej woli przychodzili na pogrzeby na cmentarz, gdzie przynosiliśmy szczątki ofiar tej zbrodni. Co roku w liturgii bierze udział miejscowy duchowny prawosławny. Miejscowe władze samorządowe też udzielały nam pomocy. Ja osobiście oprowadzałem po cmentarzu wycieczki ukraińskich uczniów i opowiadałem o trudnej historii. Niestety, wraz ze wzrastaniem na Ukrainie kultu UPA ten pozytywny stosunek zaczyna się nieco zmieniać. Widać, że niektórzy ludzie zaczynają odczuwać lęk przed wspieraniem nas w upamiętnianiu ofiar tamtych zbrodni.

Gdzie jesteście, jeżeli chodzi o realne upamiętnienie ofiar rzezi wołyńskiej?

Minęło blisko 25 lat od upadku bloku wschodniego, ale my wciąż jesteśmy w tej kwestii na początku drogi. Ostrówki i Wola Ostrowiecka to wyjątki, ponieważ przez ostatnie ćwierćwiecze bardzo niewiele krzyży udało się postawić w miejscach śmierci ofiar rzezi wołyńskiej. 95 proc. zamordowanych Polaków w około 2 tys. wołyńskich miejscowości nigdy nie zostało godnie pogrzebanych, upamiętnionych krzyżem. Mówimy o około 60 tys. ofiar z samego Wołynia, a Polacy byli też przecież mordowani w Małopolsce Wschodniej, w województwach: stanisławowskim, lwowskim, tarnopolskim. Mówimy o kilku tysiącach dołów śmierci kryjących szczątki naszych rodaków. To olbrzymie wyzwanie dla państwa polskiego. Jesteśmy to winni ofiarom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Leon Popek

jest pracownikiem lubelskiego IPN, autorem książki „Ostrówki. Wołyńskie ludobójstwo”.



Pogrzeb pomordowanych w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, 2011 r. FOT. IPN

Ocaleni z rzezi mówią

Relacje Polaków, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu, należą do najbardziej wstrząsających świadectw epoki

W pierwszym zabudowaniu znaleźliśmy wstrząsający widok. Wbitego na ostry słup przy furtce kilkuletniego chłopca. Na parkanie był napis: „Litak Sikorskoho” [Samolot Sikorskiego]. Przed progiem domu leżały trupy mężczyzn i dwóch kobiet okrutnie porąbanych siekierą.

Jerzy Krasowski

Trójka moich dzieci: Stanisława, Janek i Leon, została zabita przez Ukraińców morderców. Ja zaś ze swoim najmłodszym synkiem na rękę wybiegłam ze stodoły. Biegłam, biegłam. Usłyszałam huk i w tym samym czasie okropny krzyk mojego dziecka Józia. Upadłam, trzymając dzieciaka na rękę. Poczulałam ból w ramieniu lewej ręki. Krew sączyła się z rany. Kula dum-dum przeszyła mięsień i kość ramienia lewej ręki. Nie zdawałam sobie sprawy, czy mój syn Józio żyje, czy też nie. Byłam bardzo osłabiona z upływu krwi.

Nie pamiętam, ile trwało to omdlenie. Wkrótce poczułam pragnienie, więc zaczęłam się czołgać. Na moje szczęście pojawił się cudem ocalały brat mojego męża Aleksander Soroka. On to przyniósł mi wody, którą ugasiłam pragnienie. Postanowiłam dowiec się do swojego domu, by tam umrzeć. Cóż mi pozostało. Ci, których kochałam najbardziej, odeszli na zawsze. Chciałam się z nimi połączyć tam, na drugim Świecie, u pana Boga...

Marianna Soroka

W jednej z wiosek w pobliżu Derażnego po pogromie znaleziono w chacie małe dziecko z wyprutymi wnętrznościami. Jelita były rozpięte na ścianie w jakiś nieregularny sposób, a na jednym z gwoździ wisiała kartka z napisem: „Polska od morza do morza”.

Wincenty Romanowski

Kilku banderowców podbiegło do mojej mamy i jeden z nich uderzył ją w głowę siekierą. Mama upadła i wypuściła z rąk brata Tadzia,

a ja z przerażenia krzychałam. Mama czołgając się, przygarnęła do siebie płaczącego i zakrwawionego Tadzia, dała mu pierś. Po niedługiej chwili ponownie podbiegli banderowcy do mojej mamy i podcięli jej gardło. Jeszcze żyła, kiedy zdarli z niej szaty i poodcinali jej piersi. Mama i Tadzio bardzo się męczyli. Mama z bólu powyrywała sobie długie włosy z głowy, była strasznie zmieniona, bałam się jej.

Pobiegłam do tatusia i widziałam, jak bardzo go bili. Widziałam, jak naszej sąsiadce, Wasylkowskiej, odrąbywali na pieńku głowę. Mój krzyk był tak przerażający, że jeden z banderowców podbiegł do mnie i z rozmachem wbił mi nóż troszeczkę poniżej gardła, a ja dalej krzychałam i ze strachu nie mogłam się ruszyć z miejsca. Banderowcy krzyczeli po imieniu do ojca, a ojciec też po imieniu błagał Iwana, bo ciągle przychodził do naszego tatusia jako przyjaciel.

Kiedy po raz drugi mnie ujrzeni, postanowili skończyć ze mną, raniąc prawą dłoń nożem i przebijając na wylot, a lewą rękę raniąc przed łokciem dwa razy. Upadłam. Jeden z banderowców chwycił mnie za skórę na plecach, tak jak się łapie kota, i tyle, ile miał skóry w garści, odciął nożem. Potem jeszcze dwa razy ugodził nożem w łopatki i wrzucił mnie w ogromny kopiec mrówek. Chyba straciłam przytomność i jak się ocknęłam, bardzo byłam obolała, a mrówki tak mnie pogryzły, że byłam bardzo spuchnięta. Odrąbana i leżąca obok głowa sąsiadki była cała pokryta mrówkami.

Irena Gajowczyk

W 1943 r. (miałam wówczas dziesięć lat) nasza wieś Aleksandrowka boleśnie doświadczyła kilku napadów rezunów ukraińskich wywodzących się z naszych i sąsiednich wiosek. Najtragiczniejszy z nich miał miejsce 15 lipca około godz. 9 wieczorem. Bandyci – uzbrojeni



Polskie ofiary jednego z mordów dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów. FOT. ZBIORY EWY SIEMASZKO



W widły, siekiery, maczugi, noże oraz broń palną, okrążyli naszą wioskę i zaczęli spędzać ludzi w jedno miejsce. Rozbiegliśmy się w różne strony. Gdy dobiegłam do pszenicznego zagonu, padł strzał i poczułam straszny ból w nodze. Karabinowa kula przeszła przez stopę. Porażona postrzałem upadłam i zaczęłam się czołgać przez zboże do najbliższej wysokiej miedzy, pod którą wygrzebałam jamę i w niej przeleżałam do świtu.

Do poranka słychać było odgłosy strzelaniny i przerażające krzyki męczonych i mordowanych ludzi. Noga coraz gorzej bolała. Byłam bliska omdlenia. Po tygodniu, w niedzielę czy poniedziałek – nie pamiętam dokładnie – usłyszałam we wsi jakieś odgłosy. Po chwili rozpoznałam głos Ukrainki – Ulany Sidor, naszej sąsiadki, z którą rodzice moi dobrze żyli, a ja nawet nazywałam ją „ciocią”. Głodna i obolała odważyłam się pójść do niej, ale nie mogłam stanąć na zranioną nogę, która mocno spuchła i bardzo mnie bolała. Z trudem doczołgałam się na pobliskie podwórze, na którym była owa „ciocią”, i ze łzami w oczach zaczęłam ją prosić o kawałek chleba. Ona groźnie popatrzyła na mnie i z nienawiścią w oczach na cały głos wyrzuciła z siebie: »Ty polska mordo, jeszcze żyjesz?!«. Następnie chwyciła za stojącą przy ścianie motykę. Ze strachu nie czułam bólu okaleczonej nogi, tylko poderwałam się i zaczęłam uciekać. Mściwa Ukrainka, goniąc za mną, zgubiła mój ślad. Chyba myślała, że uciekłam na drogę, a ja, klucząc między zabudowaniami, powróciłam do swojej kryjówki w zbożu pod miedzą. Noga bardzo opuchła i tak bolała, że nie mogłam się ruszyć. Pod opuchlizną w ogóle nie było widać stopy.

Żywiłam się tylko ziarnami zboża i – stale się modląc tak, jak nauczyła mnie mama – coraz częściej myślałam o śmierci.

Leokadia Skowrońska

Przy jednym z trupów kobiet siedziało dwoje małych dzieci, które rozpaczliwie wołały:

„Mamo, mamo! Obudź się! Jesteśmy głodne! Chodź z nami do domu!”

Zofia Araszewicz

Zauważył mnie jeden z banderowców i z bliska strzelił do mnie, ale chybił. Dalsze strzały też nie były celne, udało mi się uciec. Ojciec i brat również uciekali z domu. Brat został zastrzelony. Banderowiec na koniu dogonił ojca i zamordował go. Mama stała w sieni z małym

dzieckiem na ręku. Banderowcy strzelali przez zamknięte drzwi. Jedna z kul trafiła dziecko w pierś i mamę w rękę.

Mama wyskoczyła przez okno, położyła martwe dziecko na ziemi i wczołgała się w krzaki róży obok domu. Banderowcy po wyłamaniu drzwi splądrowali mieszkanie i podpálili zabudowania. Gdy dach się zawalił, zgłiszcza opadły aż do róz, tak że mama została dotkliwie poparzona. Tak dopełniła się tragedia naszej rodziny.

Gracjan Adamowicz

Tata mówił do banderowca:

„Panowie, co złego wam zrobiliśmy? Czego od nas chcecie?”. Banderowiec uderzył ojca kolbą i obrzucił wyzwiskami. Chwilę później usłyszałam przeraźliwy bełkot naszego sąsiada – niemego. Ożenił się i miał normalne, ładne dzieci. Billi ich pałami, słyszałam głośne uderzenia. Chyba czymś kłuli, bo ofiary krzyczały przeraźliwie. Za chwilę zaczęli bić rękę i Paulinkę. Coś im robili okrutnego, bo rozległ się pisk okrutny. Ojca zaczęli mordować chwilę później. Słyszałam jego głuchy krzyk,

jęki, rżenie i odgłosy uderzeń pośród pokrzykiwań i śmiechu. Zatkaną uszy.

Po chwili spojrzałam przez szparę w płocie, zauważyłam kogoś leżącego, zakrwawionego. To na pewno był męczennik.

Może ojciec? Szeptam bez przerwy: „Boże ocal, zakryj przed ich wzrokiem. Matko Boska, ratuj!” Krzyki ucichły.

Słychać było tylko głosy Ukra-

inów – rozmawiali, śmiali się, kopali na podwórzu dół dla pomordowanych. W pewnej chwili powietrze przeszył przeraźliwy krzyk kobiety: „Jezus Maria, dziecko!” To był głos mojej starszej siostry. Miała półroczną córeczkę. Po krzyku rozległy się strzały i pisk dziecka. Potem już była cisza.

Alfreda Magdziak

Nad ranem znalazłem na podwórzu zwłoki mojego ojca. Leżał w pobliżu pnia służącego do rąbania drewna i miał poderżnięte gardło. Matkę znalazłem w mieszkaniu. Miała ślady kilku uderzeń młotkiem w głowę, a na gardle ranę kłutą bagnetem na wylot. Siostra Helena otrzymała głęboki cios siekierą w głowę, tak że morderca pozostawił w niej siekierę. Najmłodszy z braci, Edzio – lat 2 – leżał cały we krwi z roztrzaskaną główką i wbitym nożem w piersi. Obok leżał 16-letni brat Broniek. To jego głos, błagający o litość, słyszałem w nocy najdłużej. Kiedy go oglądałem, sprawiał wrażenie bryły



Pogrzeb ofiar ze wsi Użyniec na Wołyniu

FOT. ZBIORY EWY SIEMASZKO

zmasakrowanego mięsa. Nogi i ręce miał połamane. To nad nim mordercy zgnęali się najdłużej.

Michał Wojcyszyn

Podczas „Gloria” padły pierwsze strzały do księdza Bolesława Szawłowskiego i do wiernych. W kościele byłam z siostrą. Jak usłyszałam, że mordercy chodzą po kościele i mówią: „O toj jeszcze żywyj”, to szybko złapałam jakąś czapkę umoczoną w ciepłej, lepkiej krwi i potarłam nią twarz sobie i siostrze, udawałyśmy zabitych. Dym bardzo dusił, zatem ludzie usiłowali uciekać z kościoła. Ukraińcy krzyczeli: „Wychadi chto żywyj”, a wychodzących zabijali w drzwiach. Usiłowano kościół wysadzić w powietrze, ale poculiśmy tylko okropny wstrząs i wszystko ucichło.

Jadwiga Krajewska

Dziadek zawsze mnie uspokajał. Mówił: „Ja już starszy jestem, babcia też, a Weronika to 11-letnie dziecko. Więc nas chyba nie zabiją. Bo po co mieliby to robić?... Na podłodze w kuchni leżał trup babci i porąbane zwłoki małej Weroniki. Dziadek leżał w pokoju. Wszystko było we krwi. Z relacji sąsiadów udało nam się odtworzyć przebieg bestialskiego mordu. Bandycki kazali dziadkowi położyć się na podłodze sypialni i tu go zatłukli.

Ich córka wyskoczyła przez okno i zaczęła uciekać. Ukraińiec strzelił jej w nogę. Wtedy upadła. Ukraińiec podbiegł do niej i za nogę przyciągnął do domu dziadków. Rzucili ją na ciało babci, czyli jej mamy, i zarąbali siekierą. Ona strasznie krzy-



czła: „Nie zabijajcie!”. Mordowali ich uderzeniami w plecy, rąbiąc na kawałki. Dziadkowi oprawca obuchem siekiery wbił dosłownie głowę do płuca.

Kiedy obróciliśmy dziadka na plecy, by wynieść na podwórko, żeby pochować, i wziąłem go pod pachy, to móżg dziadka z krwią chlusnął mi na pierś. Było gorąco i krew nie zastygała. Coś jej jeszcze w dziadku zostało, mimo że cała podłoga pokoju była nią zalana, a do ściany były przyklepione kawałki kości i mózgu, które rozprysły się we wszystkie strony, gdy bandyta walił w głowę siekierą.

Zygmunt Maguza

Zostało nas już tylko około 100 osób: kobiet, dzieci i starców. Do stojących przy drzwiach uzbrojonych morderców podeszła jedna z kobiet – matka trojga dzieci – i zwróciła się do nich z prośbą: „Patrzcie, została nas mała garstka, pozwólcie nam żyć. Spójrzcie na te dzieci, one są niewinne, ich oczy błagają o litość, miejcie więc litość dla nich!”

Wtedy jeden z oprawców powiedział – oczywiście po chachłacku – (w przybliżeniu): „Wy, Polacy. My was wszystkich wyrzniemy, a wasze domy spalimy. Nic po was nie zostanie”. W odpowiedzi na te okrutne słowa ta kobieta rzuciła w twarz oprawcom przekleństwo: „Bądźcie przekłeci po wszystkie czasy. Niechaj krew naszych niewinnych dzieci spadnie na was, na wasze dzieci, wnuki i prawnuki!”

Mordercy zrezygnowali z mordowania pojedynczo każdej osoby z osobna i postanowili

zalać to zbiorowo. Do izb lekcyjnych, w których byliśmy zgromadzeni, zaczęto wrzucać granaty i strzelać z pistoletów maszynowych. Już pierwsze strzały i wybuchy granatów zabiły część osób, innych poraniły. Znaleźliśmy się jak gdyby w kręgu piekielnych czeluści: jęk rannych, płacz dzieci, rozdzierający krzyk matek, huk strzałów, wreszcie dym. Zbrodniarze spod znaku tryzubu podpaliли budynek szkolny. W upalny sierpniowy dzień płonął jak pochodnia; ci jeszcze żywi znaleźli się w pułapce bez wyjścia skazani na śmierć w płomieniach. Nie sposób wyrazić słowami grozy tej sytuacji, język jest tu zbyt ubogi.

Mnie śmierć jakoś omijała. Leżałem na podłodze rozplaszczony do granic możliwości. Obok leżała sąsiadka Bohniaczka. Rozległ się kolejny huk. Granat ją rozszarpał. Jej krew i poszarpane ciało chlusnęło na mnie. Byłem w szoku, podczołgałem się do mojej siostry Ani. Potrąciłem ją. Już nie żyła. Kula u wylotu z czaszki wyrwała duży otwór. Otepiałem, straciłem poczucie rzeczywistości. Podniosłem głowę i ujrzałem leżącą i krwawiącą matkę. Jeszcze żyła. Jeszcze raz przytuliłem się do matki. Była przytomna, ofiarowała mnie Bogu i Najświętszej Marii Pannie, bo tylko cud Boski mógł mnie wyprowadzić z tych piekielnych czeluści. Mama nie mogła się poruszać, granat rozszarpał jej stopy, krwawiła, spłonęła żywcem. Nie pamiętam, jak znalazłem się w drugiej izbie lekcyjnej. Na podłodze strzępy ludzkich ciał i dużo, bardzo dużo krwi.

Nie miałem już nikogo z najbliższych, zapragnąłem też umrzeć, zacząłem krztusić się dymem, pomyślałem: „Natykam się dymu, uduszę i będzie koniec”. Ale gdzie tam, zakrztusiłem się raz i drugi, i nic. A tymczasem zaczął płonąć strop budynku, zrobiło się ogromnie gorąco. Przeraziłem się tego ognia, lada chwila ten płonący strop mógł runąć na mnie. W ostatniej chwili wyskoczyłem przez okno. Rozległ się strzał, upadłem, poczułem silny ból, czoło zaczęło krwawić. Żar bijący od płonącego budynku zmuszał mnie do odzwożenia się od niego. Leżałem w ogrodzie szkolnym pełnym trupów i rannych. Ciężko ranni błagali oprawców, by ich dobili. Ukraińcy z ogromną pasją pastwili się nad rannymi, kiedy na to patrzyłem, chciałem wstać i krzyżeć. Strach przykuł mnie do ziemi, bałem się już nie śmierci, lecz tych męczarni, jakie oni rannym zadawali. Byłem cały umazany krwią cudzą i własną. Trzykrotnie przewracali mnie i kopali, ale nie zorientowali się, że jeszcze żyję.

Obok mnie leżała kobieta – Maria Jesionek, matka trojga dzieci, dwóch synów, jeden ośmiolatek, drugi pięcioletni i niemowlę ośmiomiesięczne. Ona też wyskoczyła z płonącego budynku wraz z dziećmi tuż przede mną. Morderca ugodził ją kulą, leżała martwa na swym uduszonym niemowlęciu. Jej ośmioletni syn został też zastrzelony, ten zaś pięcioletni siedział tuż przy martwej matce, szarpał ją i wołał: „Mamo, wstawaj! Chodźmy do domu”. Płakał. Podbiegł do niego Ukrainiec, przyłożył lufę karabinu do głowy i strzelił. Dzieciak przewrócił się na plecy matki, a przywarłszy do jej pleców swoje plecy, wyciągnął ręce do góry jak w modlitwie.

Henryk Kloc

Widziałem zamordowanego swego kolegę, a jednocześnie wspaniałego ucznia. Nazywał się Prończuk. Gdy banderowcy mordowali jego matkę, rzucił się jej na pomoc. Oprawcy odrąbali mu ręce i nogi, i położyli na taborecie. Umarł z upływu krwi.

Władysław Tołysz

Na Wielkanoc do Hermanówki na rezurekcję poszło 20 chłopaków. Żaden z nich nie wrócił. Wszyscy zostali pomordowani i to w okrutny sposób. Najstarszy z nich miał tylko głowę przekręconą w drugą stronę. Młodszych Ukraińcy męczyli w bardziej wyrafinowany sposób. Mieli obcięte języki, genitalia, odbierano ich ze skóry. Byliśmy tym wstrząśnięci.

Adam Kownacki

Relacje pochodzą z książek: Grzegorz Motyka, „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”, Lucyna Kulińska „Dzieci Kresów I”, Marek A. Koprowski „Wołyń. Epopeja polskich losów, akt I i II” oraz ze strony internetowej Genocide.pl

wybór Piotr Zychowicz



Polska samoobrona

Część Polaków z Wołynia postanowiła się bronić. Chwycili za karabiny noże, kosy i siekiery. Udało im się uratować tysiące rodaków



Tomasz Stańczyk

Polacy, którzy stanowili kilkanaście procent ludności Wołynia, zagrożeni wymordowaniem przez ukraińskich nacjonalistów z UPA i pomagającą im miejscową ludność ukraińską, zaczęli spontanicznie tworzyć we wsiach i w miasteczkach ośrodki samoobrony. Nie mogli liczyć na skuteczną pomoc Armii Krajowej. W kwietniu 1943 r. płk Kazimierz Bąbiński, komendant okręgu AK Wołyń, polecił swoim podwładnym, by przejęli inicjatywę tworzenia placówek samoobrony. Tylko częścią tych placówek kierowali jednak AK-owcy.

Oddziały partyzanckie AK zaczęły natomiast powstawać dopiero po lipcowej

kulminacji mordów. Jak stwierdzają Ewa i Władysław Siemaszkowie, w 1943 r. wsparcie Komendy Głównej AK dla Polaków na Wołyniu polegało na delegowaniu kilkudziesięciu oficerów, którzy objęli dowództwo oddziałów partyzanckich. Nie było natomiast żadnej pomocy w broni i amunicji prawdopodobnie z powodu jej generalnego braku.

POMOC CHOĆ U DIABŁA

Nie doszło też, niestety, do stworzenia straży obywatelskiej w gminach. Taką propozycję złożył Niemcom Adam Ronikier, prezes Rady Głównej Opiekuńczej. Straż miała być formą obrony ludności przed bandytami. Działalność band rabunkowych była poważnym problemem podczas okupacji niemieckiej, ale pierwsze oddziały straży miały powstać właśnie na Wołyniu, w reakcji na rozpoczynające się rzezie Polaków.

Delegatura Rządu na Kraj – reprezentacja polskich władz na uchodźstwie – odrzucała ideę stworzenia straży obywatelskiej. Przyczyną odmowy była zasada niewchodzenia Polaków w jakiegokolwiek porozumienia o charakterze politycznym z Niemcami. Stworzenie straży obywatelskiej byłoby źle przyjęte przez naszych aliantów, a Związek Sowiecki z pewnością wykorzystałby propagandowo jej istnienie.

Polacy na Wołyniu walczyli jednak o życie i dlatego niejednokrotnie musieli korzystać z pomocy Niemców, pozyskując od nich broń i amunicję. Szukali też pomocy u sowieckiej partyzantki i bywało, że współdziałali z nią przeciw UPA. Wobec fali rzezi dokonywanych przez Ukraińską Powstańczą Armię konieczne stało się układanie z dwoma wrogami, by uniknąć zagłady z rąk trzeciego – nacjonalistów ukraińskich. Do dziś dla

niektórych Ukraińców jest to powód do oskarżeń Polaków o kolaborację z Niemcami i Sowietami, wymierzoną w walkę o niepodległą Ukrainę.

Polakom na Wołyniu brakowało jakiegokolwiek broni. W dniu 11 lipca 1943 r. oddział UPA wpadł do miasteczka Kisielin. Nie było tam placówki samoobrony. Gdy po mszy Polacy zaczęli wychodzić z kościoła, zobaczyli uzbrojonych upowców. Doszło do masakry. Ofiarami mordu padło 86 osób (w tym troje dzieci do lat 10 i dziewięcioro nastolatków). Części Polaków udało się uciec na pierwsze piętro plebanii. Ukraińcy zaczęły rąbać drzwi, lecz cofnęły się, gdy jeden z zabarykadowanych, zdesperowany, także wziął siekiere i ostrza się spotkały. Napastników rażono odrzucanymi granatami. Rzucano w nich także cegły. Zniechęceni upowcy wycofali się po zmroku.

„Maksymalna liczba istniejących jednocześnie placówek samoobrony, samodzielnych i wchodzących w skład ośrodków (baz), wynosiła 128 i wystąpiła w lipcu 1943 r. Liczba ta w zestawieniu z blisko 3,4 tys. miejscowości, w których żyli Polacy, i liczbą zamordowanych 50–60 tys. osób uświadamia skromne rozmiary polskiej samoobrony. Gdyby samoobrona na Wołyniu była bardziej rozwinięta, a także gdyby była w stanie nie tylko przeciwstawić się napadom OUN-UPA, lecz także prowadzić walki ofensywne i dokonywać akcji odwetowych, nie byłoby na Wołyniu tyłu ofiar”. To opinia Ewy i Władysława Siemaszków zawarta w ich fundamentalnym dziele „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”.

WIEŚ JAK WAROWNIA

Symbolem samoobrony polskiej ludności Wołynia jest wieś Przebraża w powiecie łuckim – największy jego ośrodek. Zawiązał się tam w lutym 1943 r. oddział samoobrony. Jej dowódcą został Henryk Cybulski, leśniczy, uczestnik kampanii wrześniowej, podoficer rezerwy, żołnierz AK.

„Polacy nie mają już żadnych złudzeń. Wiedzą, że to, co się dzieje, nie jest wybrzykiem jakichś tam band ani przejawem lokalnych zamieszek czy zadawnionych waśni [...]. W większych wsiach i osadach

zaczynają powstawać wiejskie posterunki, czujki, grupy obronno-alarmowe. Ludzie uzbrajają się w widły, stare szable, bagnety, rzadziej – w karabiny i dubeltówki” – wspominał Henryk Cybulski w książce „Czerwone noce”.

Członkowie samoobrony Przebraża zaczęli wydobywać broń ukrytą i porzuconą we wrześniu 1939 r. przez żołnierzy polskich,



POLACY Z HUTY STEPAŃSKIEJ

Do Przebraża przybyli między innymi ludzie z rozbitego po walkach 16–18 lipca 1943 r. ośrodka samoobrony w Hucie Stepańskiej. Ta wieś liczyła około 800 mieszkańców, a schroniło się w niej około 3–5 tys. Polaków z okolicy.

Obroncy Huty Stepańskiej mieli do dyspozycji zaledwie kilkadziesiąt karabinów. Resztę broni stanowiły drągi z przymocowanymi bagnetami i ostrzami kos. Dowództwo w Hucie Stepańskiej

objął cichociemny por. Władysław Kochański „Bomba”. Upowcy, wraz z mieszkającymi w pobliżu Ukraińcami, kilkakrotnie wdzierali się do wsi, Polacy bronili się zaś desperacko, dochodziło do walki wręcz. Przewaga Ukraińców była znaczna, zaczęło brakować amunicji. Jedyne ratunkiem była próba wyrwania się z okrążenia.

Najwyższym wysiłkiem członkowie samoobrony odepchnęli wroga, torując drogę dla kolumny furmanek, na których jechali ranni i dzieci. Sprzyjała im skrywająca pochod mgła. Chociaż pochod dotarł do bezpiecznego miejsca, na skutek ataku UPA około 600 Polaków zginęło. Głównie ci, którzy usiłowali ratować się na własną rękę. Kochański, który został poważnie ranny podczas walk w Hucie Stepańskiej, sformował wkrótce potem oddział partyzancki stacjonujący we wsi Huta Stara. Liczył on 500 osób. Wśród nich byli mieszkańcy wsi, która stała się bazą samoobrony chroniącą około 10 tys. Polaków.

16 listopada 1943 r. por. Kochański dowodził udaną obroną Huty Starej. Jak stwierdza Grzegorz Motyka w książce „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”, był to jeden z największych polskich



a w czerwcu 1941 r. przez czerwonoarmistów. Udało się skłonić Niemców, stacjonujących w niedalekiej miejscowości Kiwerce, by wydali im trochę karabinów i amunicji. Kupowano też broń i amunicję od żołnierzy węgierskich strzegących w Kiwercach linii kolejowej. Broń przekazywał także łucki inspektorat AK. Siły samoobrony zorganizowano na sposób wojskowy. Stworzone zostały cztery kompanie liczące 150–200 ludzi. Zostali oni zaprzysiężeni jako członkowie Armii Krajowej.

Wieś o powstaniu bazy samoobrony rozeszła się błyskawicznie po bliższych i dalszych wsiach. Ich bezbronna ludność, zagrożona wymordowaniem przez UPA, zaczęła ściągać do Przebraża.

Wraz z sąsiednimi koloniami Przebraża stało się obozem warownym z zasiekami, rowami strzeleckimi i umocnieniami z ziemi oraz bali sosnowych. Chroniło się w nim około 10–12 tys. ludzi.

„Tworzyliśmy już jak gdyby małe państwko z własnym wojskiem, administracją i wymiarem sprawiedliwości [...]. Trzeba przyznać, że gospodarze z Przebraża wykazali w tych dniach wła-



Polacy, którzy schronili się na terenie Przebraża FOT. IPIŃ

■ sukcesów w walce z UPA: po stronie ukraińskiej było aż 54 zabitych i 40 rannych. Mszcząc się za porażkę, uciekający upowcy zabili 15 Polaków w Bielczakowskiej Kolonii.

W nocy z 4 na 5 lipca 1943 r. UPA zaczęła pochód w kierunku Przebraża, pałac po drodze polskie wioski i zabijając pozostałych w nich jeszcze mieszkańców. Taki los spotkał m.in. Dermankę. „Po-przedniego dnia przyjechał konno młody Ukrainiec z Horodyszcz, by uspokoić, że nic nikomu nie grozi w związku z mającym nastąpić przemarszem »wojska«. Rzezi dokonywano różnymi narzędziami, jak widły, piły, noże i kołki, które potem znajdowano porzucone przy zwłokach” – pisali Ewa i Władysław Siemaszkowie. W Dermance zginęło ponad 60 Polaków. W kolonii Józefin kilka osób przybito do ściany kuźni, którą następnie podpalamo. Tamtej nocy UPA wymordowała w okolicach Przebraża około 500 Polaków.

OBRONA I KONTRATAKI

Przebraże zostało zaatakowane nad ranem. „Kiedy minął pierwszy szok, dla wszystkich stało się jasne, że nie ma żadnej innej możliwości ocalenia się prócz walki wewnątrz obozu. Młodzi mężczyźni, którzy nie mieli broni, wyciągali noże, kosy, wszystko, co tylko mogło uchodzić za broń, i postanowili walczyć do ostatka” – pisał Cybulski.

Udana obrona Przebraża oraz rzezie dokonywane przez UPA wokół niego przyciągnęły do tej bazy samoobrony kolejną falę uchodźców. Przebraże stało się schronieniem także dla Żydów, którzy ukrywali się w lasach, wśród bagien. Były to m.in. rodziny Blisztajnow z Trościańca i Kaców. Nie przetrwałyby w swych schronieniach,

gdyby nie pomoc Alojzego Ludwikowskiego z Przebraża, który pomagał w budowie ziemianek i dostarczał żywność.

Samoobrona Przebraża postanowiła kontratakować. 12 lipca rozbiła bazę UPA w Trościańcu, w której mieściła się jej szkoła podoficerska. Ta akcja sprawiła, że ludzie w Przebrażu uwierzyli we własne siły i możliwość przetrwania.

Drugi napad na Przebraże nastąpił 30 sierpnia 1943 r. Wokół wsi skoncentrowało się kilka tysięcy upowców oraz ukraińskich chłopów „siekierników”. W pogotowiu czekały furmanki, którymi zamierzano wywieźć łupy. „Puszczano wieści, że Polacy zgromadzili w Przebrażu ogromne dobra. Obiecywano wszystkim, którzy pójdą na Przebraże, że tam sobie wreszcie pohulają. Poza oddziałami zajadłych nacjonalistów na koncentrację pod Przebrażem szły też bandy pospolitych rzezimieszeków i rabusiów” – wspominał po latach Mirosław Łoziński, 17-letni wówczas członek samoobrony, w książce Marka A. Koprowskiego „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–1945”.

Obrońcy mogli przeciwstawić wrogowi około 600–800 ludzi. Dowódcy ukraińscy zagrzewali atakujących słowami: „Rezuny, sikirnyki naprzód. Polacy nie mają naboń”. Obrońcy Przebraża stawili jednak skuteczny opór. Wezwali też na pomoc sowiecki oddział partyzancki, który wraz z częścią sił polskich zaatakował od tyłu upowców. Napad UPA na Przebraże, którego celem było zlikwidowanie polskiej samoobrony i wymordowanie Polaków, się nie powiódł.

WYPRAWA DO OŁYKI

Ostatnią akcją ratowania polskiej ludności przez samoobronę z Przebraża

była wyprawa do Ołyki. Mimo obecności niemieckiego garnizonu dochodziło tutaj do mordów ludności polskiej. Władysław i Ewa Siemaszkowie w swoim dziele piszą o zabiciu 14 Polaków, w tym siedmiorga dzieci, zgromadzonych na wieczery wigilijnej 24 grudnia 1943 r. w domu Borowskich na przedmieściu miasteczka oraz pięcioosobowej rodziny w innym domu. „Ojciec miał rozplataną głowę i odcięte ręce, żona była zmasakrowana, dwaj zaś synowie (siedem i dziewięć lat) mieli odrąbane palce, a sześciomiesięczna córeczka była uduszona sznurkiem”.

Gdy na początku stycznia 1944 r. niemieccy żołnierze, uchodząc przed nadciągającą Armią Czerwoną, opuścili Ołykę, Polacy schronili się w zamku Radziwiłłów. Otoczył go oddział UPA. Mieli do odparcia ataków tylko kilkanaście karabinów, ale mało amunicji i żywności. Obłożonym udało się zawiadomić samoobronę w Przebrażu. Trzystuosobowy oddział z 250 saniami dla ewakuowania ludności dotarł na czas do Ołyki i rozproszył upowców. Henryk Cybulski wspominał, że jego żołnierze znaleźli w jednym z opuszczonych domów gramofon. „Wynieśli go na podwórze i puścili pierwszą z brzegu płytę. Zrządzeniem losu był to Mazurek Dąbrowskiego”.

Niestety, nieliczne tylko placówki i ośrodki samoobrony oparły się atakom UPA – 14 ośrodków (baz) i siedem samodzielnych placówek. Było wśród nich Przebraże. Większość tych miejsc udało się obronić dzięki powstającym od lata 1943 r. oddziałom AK. Jak pisze Grzegorz Motyka w książce „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”, takich oddziałów było dziewięć i liczyły one około 1 tys. ludzi. Przewaga liczebna UPA była ponad 10-krotna.

Wbrew twierdzeniom wielu ukraińskich historyków na Wołyniu w 1943 r. nie toczyła się wojna polsko-ukraińska. Doszło natomiast do dokonanej przez Ukraińską Powstańczą Armię i część wspierającej ją ludności ukraińskiej rzezi Polaków mieszkających na Wołyniu, mającej charakter ludobójstwa. Polacy usiłowali się bronić i wiele tysięcy ludzi zawdzięcza życie placówkom samoobrony, a także nielicznym oddziałom AK. Ich siły były jednak tak małe, że nie udało się zapobiec wymordowaniu 50–60 tys. Polaków.

Już 7 listopada w **DO RZECZY** kolejny dodatek z serii „Hekatomba Polaków”



HEKATOMBA POLAKÓW **DODATEK SPECJALNY** część III

Katyń '40

Sowieckie ludobójstwo Polaków

- Kulisy zbrodnicego rozkazu Stalina
- Kim byli oprawcy Polaków
- Tajemnica listy białoruskiej
- Żydzi w Katyniu



PWPW

POLSKA WYTWÓRNIAPAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

NASZ NARODOWY WYTWÓRCA

BANKNOT PROMOCYJNY Ignacy Matuszewski



Ignacy Stanisław Hugo Matuszewski (1891-1946)

Należał do zaufanych oficerów marszałka Piłsudskiego. Organizator zbrojnego opanowania Mińska w lutym 1918 r., który wyzwolił z rąk bolszewików. W latach: 1924–1926 attaché wojskowy RP w Rzymie, 1926–1927 kierował Departamentem Administracyjnym MSZ. Od 1928 do 1929 poseł RP w Budapeszcie. W latach 1921–1931 kierował Ministerstwem Skarbu. Współinicjator powołania Komitetu Amerykanów Polskiego Pochodzenia i Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Najwybitniejszy polski publicysta polityczny na wygnaniu. Odznaczony m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz czterokrotnie Krzyżem Walecznych.



TRADYCJA | BEZPIECZEŃSTWO | INNOWACJE